

KIM
BYŁBYM
BEZ
CIEBIE?

GUILLAUME
MUSSO



1

Tamtego lata...

Pierwsza miłość jest zawsze ostatnia.

TAHAR BEN JELLOUN

San Francisco, Kalifornia
Lato 1995

Gabrielle ma dwadzieścia lat.

Jest Amerykanką, studentką trzeciego roku na uniwersytecie w Berkeley.

Tamtego lata często chodzi w jasnych džinsach, białej koszuli i dopasowanej, skórzanej kurtce. Ma długie gładkie włosy i zielone oczy, w których igrają złote punkciki. Podobna jest do Françoise Hardy, na fotografii zrobionej w 1960 roku przez Jean-Marie Périera. Tamtego lata spędza całe dnie w bibliotece uniwersyteckiej albo pracuje jako ochotniczka w oddziale straży pożarnej przy California Street. Tamtego lata przeżyje swoją pierwszą miłość.

Martin ma dwadzieścia jeden lat.

Jest Francuzem, dopiero co zrobił licencjat z prawa na Sorbonie. Tamtego lata pojechał do Stanów Zjednoczonych, żeby szlifować swój angielski i poznać kraj od wewnątrz. Ponieważ „groszem nie śmierdzi”, przez siedemdziesiąt godzin tygodniowo wykonuje drobne prace: jest kelnerem, sprzedawcą lodów, ogrodnikiem...

Tamtego lata ma półdługie krucze włosy i wygląda jak młody Al Pacino.

Tamtego lata przeżyje swoją ostatnią miłość.

Berkeley, kafejka uniwersytecka

— Hej, Gabrielle! Mam list dla ciebie!

Młoda kobieta siedząca przy jednym ze stolików podnosi oczy znad książki.

— Słucham?

— Mam dla ciebie list, ślicznotko! — powtarza Carlito, kierownik kafejki, kładąc na stoliku Gabrielle kremową kopertę obok filiżanki z herbatą.

Gabrielle marszczy brwi.

— Od kogo?

— Od tego Francuzika, Martina. Skończył już tu pracować, ale przyszedł dziś rano specjalnie, żeby zostawić ten list.

Gabrielle bezradnie patrzy na kopertę, po czym wsuwa ją do kieszeni i wychodzi.

Na wielkim, zielonym terenie kampusu, nad którym króluje dzwonnica, panuje wakacyjna atmosfera. Gabrielle idzie główną alejką, potem skręca w boczne, szukając w cieniu stuletnich drzew wolnej ławki.

Siada w oddali od ludzi i otwiera kopertę z lękiem i ciekawością.

*

26 sierpnia 1995

Droga Gabrielle,

Chcę Ci po prostu powiedzieć, że jutro wracam do Francji i że nic nigdy nie będzie się dla mnie tak liczyło jak te kilka chwil spędzonych z Tobą podczas mojego pobytu w Kalifornii, w kafejce uniwersyteckiej na rozmowach o książkach, filmach, muzyce i przebudowywaniu świata.

Chcę Ci po prostu powiedzieć, że kilka razy naprawdę żałowałem, że nie jestem bohaterem powieści. W powieści lub filmie bohater daje jakoś dyskretnie bohaterce do zrozumienia, że mu się podoba, że lubi z nią rozmawiać i że kiedy na nią patrzy, przechodzą go dreszcze — delikatne, bolesne i paraliżujące zarazem. Że czuje się speszony wrażeniem totalnego porozumienia, przedziwnej, zbijającej z tropu bliskości. Że jest to coś wyjątkowego, czego nigdy przedtem nie czuł ani nie podejrzewał istnienia czegoś takiego.

Chcę Ci po prostu powiedzieć, że tamtego

popołudnia, kiedy w parku zaskoczył nas deszcz i schroniliśmy się na ganku biblioteki, coś nieoczekiwanie pchnęło mnie ku Tobie. Myślę, że Ty także to poczułaś i że to nas oszołomiło. Mało brakowało, a pocałowalibyśmy się. Nie uczynilem żadnej próby w tym kierunku, bo opowiadałaś mi o Twoim chłopaku, tym podróżującym po Europie, któremu byłaś wierna, i ponieważ nie chciałem, żebyś pomyślała, że jestem jednym z tych facetów, którzy bezczelnie i nachalnie Cię podrywają.

Wiem jednak, że gdybyśmy się wówczas pocałowali, odjeżdżałbym szczęśliwy, nie przejmując się niczym, bo wiedziałbym, że trochę Ci na mnie zależy. Wiem, że ten pocałunek szedłby za mną stale i wszędzie jako niezapomniane wspomnienie, które dawałoby mi otuchę w chwilach samotności. Z drugiej strony mówi się, że najpiękniejsze historie miłosne to te niespełnione. Być może na tej zasadzie pocałunki, których się nie wymieniło, wzruszają dużo silniej niż te przeżyte.

Chcę Ci po prostu powiedzieć, że kiedy na Ciebie patrzę, myślę o filmie z taśmą przesuwaną z szybkością dwudziestu czterech klatek na sekundę. U Ciebie pierwsze dwadzieścia trzy klatki są świetliste i promienne, ale z dwudziestej czwartej emanuje prawdziwy smutek, który jest wielkim kontrastem ze światłem, jakie w sobie nosisz. Jest jak niewidoczna rysa w brylancie:

brak, który określa Cię skuteczniej, niżbyś kazała podziwiać wszystkie swe zalety czy sukcesy. Wiele razy zastanawiałem się, skąd ten smutek, wiele razy miałem nadzieję, że otworzysz się przede mną, ale to nie nastąpiło.

Chcę Ci po prostu powiedzieć, żebyś dbała o siebie, żebyś nie poddawała się melancholii. Nie pozwól zatriumfować dwudziestej czwartej klatce. Zabroń wstępu demonom do Twojej anielskiej duszy.

Chcę Ci po prostu powiedzieć, że ja również uważam, iż jesteś wspaniała, słoneczna. Ale to mówią Ci wszyscy jak dzień długi, więc w końcu okazałem się taki jak inni.

Chcę Ci po prostu powiedzieć, że nigdy Cię nie zapomnę.

Martin

*

Gabrielle unosi głowę. Jest zachwycona i zaskoczona.

Już po pierwszych zdaniach zorientowała się, że ten list jest inny. Wie, o czym Martin pisze, lecz dotychczas patrzyła na to pod innym kątem. Rozgląda się, nie chce, aby jej twarz zdradziła wzruszenie. Kiedy czuje wzbierające łzy, ucieka z kampusu i wsiada do metra jadącego do centrum San Francisco. Zamierzała jeszcze zostać, żeby popracować w bibliotece, ale w obecnej sytuacji nie czuje się na siłach.

Siada na ławce w kolejce podziemnej. Z jednej strony

jest zaskoczona treścią listu od Martina, z drugiej — list sprawił jej przyjemność, wprowadzając jednocześnie w zakłopotanie. Nie codziennie zdarza jej się wzbudzić podobne zainteresowanie. Nie codziennie ludzie starają się ją zrozumieć, przeważnie rejestrują jej urodę i na tym się kończy.

Wszyscy myślą, że Gabrielle jest silna i towarzyska z natury, podczas gdy tak naprawdę jest bardzo wrażliwa i pełna sprzeczności. Nawet ci, którzy znają ją od lat, nie mają o tym pojęcia, a on przejrzał ją, zrozumiał w ciągu kilku tygodni.

Tego lata całe kalifornijskie wybrzeże dusi się w upale. Nawet San Francisco ze swoim mikroklimatem nie stanowi wyjątku. Pasażerowie kolejki podziemnej wyglądają jak otepiały od upału duchy. Ale duch Gabrielle nie jest z nimi. Gabrielle stała się bohaterką średniowiecznej powieści, eposu z czasów rycerskich. Z czasów, kiedy pojawia się miłość dworska. Chrétien de Troyes przysłał jej właśnie list, zdecydowany zmienić przyjaźń, którą ona go obdarza, w...

Gabrielle ponownie czyta list. Sprawia jej to wielką przyjemność, ale jednocześnie także ból.

Nie, Martinie Beaumont, zdecydowanie nie jesteś taki jak inni...

Czyta list znowu i znowu. Jest szczęśliwa, zrozpaczona, niezdecydowana.

Do tego stopnia niezdecydowana, że zapomina wysiąść na swojej stacji. Żeby wrócić do domu, będzie musiała przejechać dodatkowy przystanek w tym upale.

Brawo, średniowieczna bohaterko, *well done!*

*

Nazajutrz, 09.00

Lotnisko w San Francisco

Pada.

Jeszcze niezupełnie obudzony Martin zdusza ziewnięcie i zaciska dłoń na autobusowym pręcie. Sfatygowany pojazd tańczy na wirażu. Martin ma na sobie popelinowy płaszcz, dziurawe džinsy, zniszczone adidas i T-shirt z podobiznami członków jakiegoś zespołu rockowego.

Tamtego lata wszyscy chłopcy mają w sobie coś z Kurta Cobaina.

W głowie Martina kłębią się wspomnienia z dwóch miesięcy spędzonych w Ameryce. Naoglądał się i przeżył też sporo. Kalifornia jest tak bardzo różna od Évry i paryskich przedmieść. Przed wakacjami zamierzał na jesieni złożyć papiery i podejść do konkursowego egzaminu na oficera policji, ale teraz, po pobycie w Kalifornii, po wakacjach, w czasie których symbolicznie przeszedł inicjację do dorosłości, wszystko się zmieniło. Ten chłopak z przedmieść nabrał w Ameryce pewności siebie, bo choć życie tam było równie ciężkie jak gdzie indziej, ambitni mieszkańcy tego kraju nigdy nie tracili nadziei na realizację swoich marzeń.

A marzeniem Martina było zostać pisarzem i pisać wzruszające historie, historie o zwykłych ludziach, którym zdarzają się rzeczy niezwykle. Bo rzeczywistość mu nie

wystarczała, fikcja była zawsze obecna w jego życiu. Już gdy był małym chłopcem, jego ulubieni bohaterowie wyciągali go często z tarapatów, pocieszali, gdy był smutny i zawiedziony. Bajki karmiły jego wyobraźnię, wysubtelniały emocje, pozwalały spojrzeć na rzeczywistość w świetle, które czyniło ją możliwą do zaakceptowania.

Autobus z Powell Street wyrzuca pasażerów przed terminalem lotów międzynarodowych. Wszyscy się przepychają, Martin chwytą swoją gitarę. Objuczony jak muł wychodzi ostatni z autobusu, grzebie w kieszeni, znajduje bilet i zaczyna się rozglądać.

Nie od razu ją zauważa.

Zaparkowała w drugim rzędzie samochodów, nie gasząc silnika.

Gabrielle.

Jest przemoczona od deszczu, jest jej zimno i lekko drży.

Rozpoznają się. Biegną ku sobie.

Obejmują się i serca tłuką im się w piersiach, tak jak to się dzieje za pierwszym razem, kiedy wszystko wydaje się możliwe.

Potem ona uśmiecha się i mówi zaczepnie:

— A więc, Martinie, naprawdę myślisz, że najgorętsze pocałunki to te, których się nie wymieniono?

Całują się.

Usta szukają ust, oddechy łączą się w jeden, mokre włosy Gabrielle mieszają się z mokrymi włosami Martina. Martin dotyka dłonią szyi Gabrielle, ona przykładą dłoń

do jego policzka. Szybko, niezręcznie, wymieniają kilka miłosnych słów.

— Zostań jeszcze trochę! — prosi Gabrielle Martina.

Martin nie wie, że przeżywa najszcześniejsze chwile w życiu. Nigdy nie spotka go nic podobnie czystego, promiennego i gorącego jak spojrzenie zielonych, błyszczących w deszczu oczu Gabrielle tamtego ranka, tamtego lata.

I ten proszący głos: „Zostań jeszcze trochę!”.

*

San Francisco

28 sierpnia — 7 września 1995

Dopłacając sto dolarów, Martin przebukował bilet. Ta suma pozwoliła mu przeżyć dziesięć najważniejszych dni w życiu.

Kochają się.

Przytulają do siebie w księgarniach na uliczkach Berkeley, gdzie panuje wciąż atmosfera cyganerii.

W kinie na Reid Street niewiele dociera do nich z akcji z wyświetlanego właśnie *Leaving Las Vegas*, tak zajęci są pocałunkami i pieszczotami.

Podobnie w restauracyjce przy ogromnym hawajskim hamburgerze z ananasem i butelce wina.

Są w sobie zakochani.

Wyglupiają się, zachowują jak dzieci, gnają po plaży, trzymając się za ręce.

Są w sobie zakochani.

W pokoju w akademiku on improwizuje dla niej na gitarze nową wersję *Walca na tysiąc taktów* Jacques'a Brela. Ona tańczy, najpierw wolno, rozmarzona, potem coraz szybciej, wirując jak derwisz z wyciągniętymi w górę ramionami, a dłońmi zwróconymi wewnętrzną stroną ku niebu.

On porzuca gitarę i przyłącza się do jej transu. Wirują i przewracają się na ziemię jak puszczone w ruch dziecięcy bąk...

Kochają się...

Wiszą w powietrzu... Fruną...

Są Bogiem, aniołami, są sami, jedyni.

Świat wokół znika, staje się dekoracją w teatrze tylko dla nich stworzonym.

Są zakochani.

Ta miłość jest ich krwią.

Ich alkoholem.

Ich jest ten moment, ich cała wieczność.

Jednocześnie czują strach.

Strach przed uzależnieniem się od siebie.

Strach, że zabraknie im powietrza.

Oczywistość. Konsternacja.

Grom. Unicestwienie.

Najpiękniejsza z wiosen, najgwałtowniejsza z burz.

Ale są w sobie tak zakochani...

*

Ona go kocha.

W środku nocy.

W samochodzie, na parkingu w Tenderloin, niebezpiecznej dzielnicy miasta. Z radia rozbrzmiewa wibrujący dźwięk gangsta rapu i piosenki *Smells Like Teen Spirit*.

Nieważne ryzyko, nieważne, że w każdej chwili w świetle reflektorów mogą zostać zaatakowani przez członków jakiegoś gangu albo zaskoczeni przez patrol policji.

Tamto spełnienie na parkingu to nie romantyczne zaloty, ukradkowe spojrzenia czy bukiet róż. To druga strona miłości, to jak przypalenie rozżarzonym metalowym prętem, które wrywa więcej, niż ofiarowuje. Tamtej nocy to dawka narkotyku, zachłyśnięcie się narkomana. Gabrielle chce mu pokazać swoją inną, nie tak gładką stronę pozornie romantycznego portretu. Pęknięcie, ryse, dwudziestą czwartą klatkę. Chce się przekonać, czy on pójdzie tam za nią, czy też zostawi ją samą.

Tamtej nocy nie jest jego ukochaną, jest jego kochanką.
Because the night belongs to lovers.
Because the night belongs to us.

*

On ją kocha.

Kocha ją czule.

Na plaży, rankiem.

Zasnęła na jego płaszczu. Położył głowę na jej brzuchu.

Młodzi kochankowie, pieszczeni letnim wiatrem, w różowym świetle kalifornijskiego nieba.

Zmęczeni miłością, serca mają złęczone, sklezione.
Małe radio stojące obok na piasku nadaje starą balladę.

*

8 września 1995, 09.00
Lotnisko w San Francisco

Koniec snu.

Oboje stoją w holu lotniska, pośród tłumu, w hałasie.

Rzeczywistość w końcu wygrała pojedynek z iluzją
ponadczasowego uczucia.

Szok jest brutalny. Boli.

Martin szuka wzroku Gabrielle. Tego ranka z oczu
opadły mu złote łuski. Nie wiedzą, co mają sobie
powiedzieć. Obejmują się gorączkowo, wczepiają w
siebie, każde z nich stara się znaleźć w tym drugim siłę,
której mu brak. W tej grze Gabrielle jest silniejsza. Ona
wiedziała, że dni szczęścia wykrada losowi, podczas gdy
on myślał, że szczęście będzie trwało wiecznie.

Ale to jej jest zimno. Martin zdejmuje więc płaszcz z
moleskinu i okrywa jej ramiona. Na początku ona
odmawia w stylu: „jestem odporna”, „wcale mnie
marzną”, ale on naciska, widzi, że dziewczyna trzęsie się
z zimna. Teraz ona zdejmuje z szyi srebrny łańcuszek z
małym Krzyżem Południa i daje mu go do ręki.

Po raz ostatni wzywają pasażerów do samolotu. Teraz
już naprawdę muszą się rozstać.

Po raz setny Martin pyta Gabrielle:

— Ten twój chłopak, który jest teraz w Europie...

Kochasz go?

Gabrielle jak zwykle przy tym pytaniu zamyka mu usta palcem i nie patrzy na niego.

Obie sylwetki odklejają się od siebie. Martin idzie w kierunku terminalu odlotów, nie spuszczając Gabrielle z oczu.

*

9 września, Paryż

Lotnisko Charles'a de Gaulle'a

Po dwóch międzylądowaniach i wielu opóźnieniach lot Aer Lingus ląduje na Roissy pod wieczór. W San Francisco było jeszcze lato. W Paryżu jest już jesień. Niebo ciemne, brudne. Skonsternowany, z oczami czerwonymi od niewyspania Martin czeka na swój bagaż. Na ekranie telewizora jakaś blondyna po liftingu krzyczy: „Bóg dał mi wiarę!”. Jeszcze tego ranka Martin był w Ameryce Clintona, a wieczorem jest już we Francji Chiraca. I nienawidzi swej ojczyzny, bo nie jest to ojczyzna Gabrielle.

Bierze walizkę i gitarę, po czym rusza w długą podróż do domu: najpierw RER-em linii B do stacji Châtelet-Les-Halles, potem RER-em linii D w kierunku Corbeil-Essonnes, żeby dotrzeć do Évry, a potem autobusem jadącym do osiedla Piramidy. Chciałby, żeby muzyka odcięła go od codzienności, ale baterie w walkmanie dawno się wyczerpały. Martin jest spłoszony, zdezorientowany, czuje się tak, jakby ktoś wstrzyknął mu

truciznę do serca. Po pewnym czasie uświadamia sobie, że po policzkach płyną mu łzy i że głupie typy obok gapią się i wyśmiewają z niego. Stara się opanować: lepiej nie okazywać słabości, jeśli siedzi się w autobusie jadącym w kierunku Piramid. Odwraca więc głowę i po raz pierwszy uświadamia sobie, że tej nocy nie będzie przy nim Gabrielle.

I łzy płyną z podwójną siłą.

*

Północ.

Martin wychodzi z pokoiku, który zajmuje w mieszkaniu komunalnym należącym do jego dziadków.

Winda nie działa. Trzeba zejść pieszo z dziewiątego piętra. Skrzynki na listy powyrywane, na klatce ktoś się awanturuje. Tutaj nic się nie zmieniło od jego wyjazdu.

Przez pół godziny szuka budki telefonicznej, która nie byłaby zdewastowana, po czym wsuwa do otworu kartę na pięćdziesiąt jednostek i wykręca numer na drugim kontynencie.

*

W odległym o dwanaście tysięcy kilometrów San Francisco jest wpół do pierwszej po południu. W kafejce na terenie kampusu Berkeley dzwoni telefon...

*

49, 48, 47...

Z żołądkiem związanym w supeł Martin zamyka oczy

i mówi:

— Gabrielle? To ja. Stawiam się wiernie jak zwykle w południe.

Gabrielle najpierw uśmiecha się, bo jest zaskoczona i szczęśliwa, a potem płacze, bo to rozstanie jest męką.

38, 37, 36...

Martin mówi, jak bardzo mu jej brak, że ją uwielbia, że nie wie, jak będzie mógł żyć bez niej...

Gabrielle mówi, jak bardzo chciałaby być obok niego, spać u jego boku, całować go, pieścić, gryźć, zabić z miłości.

...25, 24, 23...

Martin słucha jej głosu i wszystko do niego wraca: czuje zapach jej skóry, woń piasku, jej włosy pełne wiatru, jej „całuję cię”...

...jego „całuję cię”, jego dłoń na swojej szyi, jego oczy szukające jej oczu, uściski gwałtowne i łagodne zarazem.

...20, 19, 18...

Martin patrzy w panice na ekran z płynnego kryształu w aparacie telefonicznym; obserwowanie, jak szybko mijają opłacone jednostki czasu, jest męką.

...11, 10, 9...

Potem już tylko milczą, bo wzruszenie ściska im gardła.

Słuchają bicia swoich serc, które uderzają jednym rytmem, i oddechów, które, chociaż rozdzielone setkami kilometrów kabla telefonicznego, jednak mieszają się ze sobą.

...3, 2, 1, 0...

*

W tamtych czasach nie było jeszcze Internetu, e-maili, Skype'a czy różnych ICQ.

W tamtych czasach listy miłosne wysyłane z Francji do Kalifornii szły dziesięć dni.

W tamtych czasach, kiedy napisałeś „Kocham Cię!”, musiałeś czekać na odpowiedź trzy tygodnie.

A czekanie przez trzy tygodnie na „Kocham Cię” naprawdę jest nieludzkie, kiedy się ma dwadzieścia lat.

*

Tak więc listy od Gabrielle pojawiają się coraz rzadziej, aż zupełnie przestają przychodzić.

Potem Gabrielle coraz rzadziej odpowiada na telefon, czy to w kafejce, czy w jej pokoju w akademiku, a najczęściej zleca swojej współlokatorce odbieranie wiadomości od Martina.

Którejś nocy doprowadzony do ostateczności Martin wyrywa słuchawkę z telefonu i rozbija nią szklaną ścianę budki. Ze wściekłości zrobił to, co zawsze potępiał u innych. Stał się taki jak ci, których zawsze nienawidził, którzy niszczyli mienie społeczne, którzy przed snem wypijali karton piwa, cały dzień palili trawkę, mając w nosie życie, szczęście i nieszczęście, wczoraj i jutro.

Martin w rozpacz zaczyna żałować, że spotkał taką miłość, ponieważ teraz nie wie, jak żyć. Każdego dnia wmawia sobie, że jutro będzie lepiej, że czas leczy rany,

ale następnego dnia tylko pograża się jeszcze bardziej.

*

W końcu jednak dochodzi do wniosku, że jeśli ponownie chce zdobyć Gabrielle, musi w to włożyć całe serce. Postanawia działać, żeby mieć siłę wypłynięcia na powierzchnię. Wraca na uniwersytet, znajduje pracę w Carrefourze w Évry 2. W nocy pracuje jako parkingowy i oszczędza każdy grosz.

W tym momencie życia przydałby mu się starszy brat, ojciec, matka, wierny przyjaciel, ktoś, kto by mu doradził, żeby nigdy w nic nie wkładał „całego serca”, ponieważ ten, kto tak robi, ryzykuje, iż nigdy już nikogo nie pokocha.

Ale Martin nie ma nikogo bliskiego, kogo rad mógłby posłuchać, słucha więc tylko swego głupiego serca.

*

10 grudnia 1995

Najukochańsza Gabrielle,

*Pozwól mi jeszcze tak się do Ciebie zwrócić,
nawet jeśli to będzie ostatni raz.*

*Nie robię sobie złudzeń, wiem, że mi się
wymykasz.*

*Co do mnie, to rozstanie wzmocniło moje
uczucie i mam nadzieję, że jeszcze choć trochę
za mną tęsknisz.*

Gabrielle, wciąż jestem przy Tobie.

Jestem bliżej Ciebie niż kiedykolwiek.